

Państwo nie musi udzielać ślubów

6 sierpnia 2013

Opublikowano: 23.05.2007

Czytając pismo „Najwyższy Czas!” można chyba bez specjalnego ryzyka stwierdzić, że jedną z najbardziej potępianych i wyśmiewanych przez polskich liberalnych konserwatystów czy też konserwatywnych liberałów idei są małżeństwa homoseksualistów. Idea ta w mniejszym lub większym stopniu jest już wprowadzana w życie w niektórych państwach Unii Europejskiej (np. Francja, gdzie ustanowiono odpowiednik małżeństwa dla homoseksualistów zwany Pacte Civil de Solidarité, w skrócie PACS) i Stanów Zjednoczonych Ameryki (np. Vermont, gdzie Sąd Najwyższy orzekł, że parom homoseksualnym mają przysługiwać te same prawne przywileje, co małżeństwom), co zwykle bywa przytaczane jako przykład na postępującą demoralizację krajów Zachodu oraz opanowywanie ich przez lewicową (to znaczy socjalistyczną) ideologię.

Tymczasem, choć faktem jest, że ustawy nadające związkom homoseksualnym przywileje podobne do tradycyjnych małżeństw są na ogół przygotowywane i przegłosowywane w parlamentach przez partie głoszące rozmaite odmiany socjalliberalizmu (socjaldemokratów, Zielonych itp.), to jednak – co może dla polskich liberalnych konserwatystów (czy też konserwatywnych liberałów) stanowić szokującą niespodziankę – za podobnymi rozwiązaniami opowiadają się także niektórzy co liberalniejsi konserwatyści na Zachodzie. W 1989 roku w gazecie „New Republic” ukazał się artykuł Andrew Sullivana „Here Comes the Groom: A (Conservative) Case For Gay Marriage”, w którym autor argumentował wprost za rozszerzeniem instytucji tradycyjnego małżeństwa, ze wszystkimi jego przywilejami, ale i zobowiązaniami, na pary homoseksualne. Zdaniem p. Sullivana małżeńskie przywileje zachęcałyby homoseksualistów do

zawierania małżeństw, które powinny być promowane w tym środowisku tak samo, jak wśród heteroseksualistów – nakładając określone obowiązki, rozwijałyby poczucie odpowiedzialności, ograniczałyby promiskuityzm i ograniczałyby zagrożenie AIDS. Sullivan nie widział też powodów, dla których homoseksualne małżeństwa nie mogłyby adoptować dzieci i tym samym pomagać społeczeństwu w ich wychowywaniu.

Z argumentem, że legalizacja homoseksualnych małżeństw może zagrozić tradycyjnej instytucji małżeństwa między kobietą a mężczyzną, Sullivan rozprawił się krótko – homoseksualne małżeństwa nie są realną alternatywą dla małżeństw heteroseksualnych. Jest bardzo mało prawdopodobne, by heteroseksualista dał się nakłonić do zawarcia homoseksualnego związku małżeńskiego. Wprawdzie legalizacja małżeństw jednopłciowych może spowodować spadek liczby małżeństw heteroseksualnych zawieranych przez homoseksualistów (co jak wiadomo zdarza się np. w celu ukrycia rzeczywistych skłonności seksualnych przed rodziną i znajomymi – częste są tu zwłaszcza małżeństwa zawierane między gejami a lesbijkami), ale przyniosłoby to jednoznacznie pozytywne skutki, w postaci „uniknięcia wielu torturowanych rodzin i możliwości stworzenia rodzin bardziej szczęśliwych”. „Nie jest to odrzucenie wartości rodzinnych. Jest to ich rozszerzenie” – stwierdził p. Sullivan. „Nawet najtwardsi konserwatyści przyznają, że homoseksualiści są trwałą mniejszością w społeczeństwie i nie da się ich pozbyć. Skoro prześladowanie nie jest w cywilizowanym społeczeństwie wyjściem, czemu nie zachęcać homoseksualistów do tradycyjnych wartości, zamiast niekonsekwentnie im złożyć?”.

Argumenty za legalizacją homoseksualnych małżeństw można znaleźć też w opublikowanym w 1998 r. w „Wall Street Journal” artykule Jonathana Raucha „What’s Wrong in „Marriage Lite”?”. Zdaniem autora, jest to jedyna droga, by powstrzymać osłabianie instytucji małżeństwa poprzez przyznawanie konkubinatom – tak homoseksualnym, jak i heteroseksualnym –

przywilejów podobnych, jakie przysługują małżeństwom. Okazało się bowiem, że przyznawanie nieformalnym związkom homoseksualnym rozmaitych przysługujących małżeństwom przywilejów (np. dotyczących opieki zdrowotnej) przez rozmaite instytucje państwowe i prywatne korporacje w USA zaowocowało serią procesów, w których heteroseksualiści żyjący w konkubinatach skarżyli się na dyskryminację. Sądy z reguły uznawały ich racje, co doprowadziło do rozszerzenia tych przywilejów także na konkubiny heteroseksualne. Zdaniem autora nie jest to zdrowa sytuacja – przytacza on wyniki badań, według których konkubiny są mniej trwałe od małżeństw, partnerzy w mniejszym stopniu dotrzymują w nich sobie wzajemnie wierności, mniej wspólnie inwestują, zaś kobiety żyjące w konkubinatach padają dwukrotnie częściej ofiarą przemocy i trzykrotnie częściej cierpią na depresję. Z tych powodów konkubiny nie powinny być promowane. „Społeczeństwo powinno dawać jasny przekaz: jeśli chcesz korzystać z przywilejów małżeństwa, zawrzyj je” – pisze Rauch. Jednak szanse likwidacji przywilejów dla konkubinatów daje według niego jedynie rozszerzenie instytucji małżeństwa na pary homoseksualne. „Bycie przeciwko małżeństwom homoseksualistów i bycie promażeńskim nie jest, jak się okazuje, tą samą rzeczą”.

Jak widać, niektórzy konserwatyści popierają tu rozwiązania zbliżone do tych proponowanych przez środowiska socjalliberalne: rozszerzenie przywilejów, jakimi cieszą się tradycyjne małżeństwa na związki homoseksualne – pod warunkiem, że będzie się to wiązało z przyjęciem podobnych zobowiązań. Oczywiście, wśród konserwatystów wciąż przeważa stanowisko, że przywileje tradycyjnych heteroseksualnych małżeństw powinny zostać zachowane i w żadnym przypadku nie powinno się ich rozszerzać na związki homoseksualne. Istnieje jednak jeszcze jedna opcja – lansowana przez wolnościowców.

Zarówno konserwatywni przeciwnicy homoseksualnych małżeństw i związków „małżeństwopodobnych”, jak i ich (na ogół liberalni,

ale jak widać, także i konserwatywni) zwolennicy zakładają, że związki małżeńskie (czy ich odpowiedniki w rodzaju PACS) powinny być specjalnym typem związków, odgórnie regulowanym i uprzywilejowywanym przez państwo. Jak jednak napisał wiceprezes Cato Institute, David Boaz, w swym artykule „Privatize Marriage: A simple solution to the gay-marriage debate”, „współczesnym błędem jest myślenie, że ważne rzeczy [takie, jak właśnie małżeństwo – przyp. J. S.] muszą być planowane, sponsorowane, nadzorowane czy koncesjonowane przez państwo. Obie strony dyskusji na temat małżeństw homoseksualistów przyjmują założenie ze swej istoty kolektywistyczne”. Doświadczenie pokazuje, że wiele rzeczy istotnych dla funkcjonowania społeczeństwa – np. gospodarka – funkcjonuje o wiele lepiej, gdy państwo się do nich nie wtrąca. Może więc w ogóle zrezygnować z instytucji państwowego małżeństwa? Tak naprawdę konserwatyści argumentujący, że tradycyjne, obwarowane określonymi zobowiązaniami heteroseksualne małżeństwo wymaga szczególnej „ochrony” i uprzywilejowania przez państwo nie są zbyt konserwatywni. Jak pisze wspomniany p. David Boaz, powołując się na innych autorów, we wczesnym średniowieczu małżeństwo było (pomijając aspekt religijny) prywatną umową majątkową pomiędzy dwiema rodzinami lub – jeśli majątek nie wchodził w grę – pomiędzy dwoma jednostkami. W Anglii pierwsze państwowe prawo regulujące małżeństwo weszło w życie dopiero w 1754 roku.

Likwidacja instytucji państwowego małżeństwa nie oznaczałaby oczywiście, że – jeśli tylko w poszanowaniu byłaby swoboda zawierania umów – ludzie nie mogliby się wzajemnie łączyć w trwałe stadła związane np. cywilną umową wspólnoty majątkowej. „Jeśli chcieliby oni zawrzeć tradycyjny układ żywicieli rodziny-osoba zajmująca się domem, z określonymi regułami dotyczącymi majątku i alimentów w przypadku rozwodu, mogliby tak zrobić. Mniej tradycyjne pary mogłyby utrzymać swe aktywa rozdzielone i zgodzić się na wspólne ponoszenie określonych ciężarów” pisze p. Boaz. Dotyczyłoby to także par homoseksualnych, i nie tylko par. „Wolnościowy system prawny

nie przyznawałby specjalnej ochrony pewnemu typowi rodziny, ale zezwalałby na każde pokojowe, zawarte za zgodą [zainteresowanych stron] porozumienie. Monogamia i poligamia; małżeństwo heteroseksualne i homoseksualne; rodzina rozszerzona, komórkowa i z jednym rodzicem; małżeństwo grupowe (seksualne i nieseksualne) – każdy z tych związków byłby dozwolony” – tak konsekwencje takiego rozwiązania opisuje w artykule „Beyond Patriarchy: A Libertarian Model of the Family”, opublikowanym w wydawanym przez Free Nation Foundation periodyku „Formulations”, teoretyk radykalnego libertarianizmu prof. Roderick T. Long. Można z dużym prawdopodobieństwem sądzić, że w praktyce powstałyby gotowe wzorce takich umów, sprzedawane w supermarketach (jak przewiduje np. p. Boaz) lub rozprowadzane przez rozmaite organizacje (np. stowarzyszenia lesbijek czy związki religijne). Można przypuścić też, że np. sakramentalne małżeństwa katolików byłyby uzależnione od wcześniejszego zawarcia określonego typu umowy cywilnej, której warunki określiłyby i której zawierania pilnowałyby władze kościelne. Być może katolickie małżeństwa stałyby się nierozzerwalne i w sensie cywilnym, co powinno do pomysłu likwidacji państwowego małżeństwa nastawić przychylnie katolickich tradycjonalistów...

Oczywiście nikt nie powinien być zmuszany do jednakowego traktowania wszystkich tych związków i pozbawiany swobody ustalania swojej współpracy z innymi na różnych zasadach w zależności od tego, czy zawarli związek określonego typu, czy też nie. Pracodawcy powinni mieć swobodę przyznawania świadczeń socjalnych np. tylko małżeństwom katolickim lub tylko małżeństwom żydowskim. Spółdzielnie mieszkaniowe powinny mieć swobodę udzielania ulg w czynszach np. tylko tradycyjnym małżeństwom heteroseksualnym opartym na wspólnocie majątkowej lub tylko parom homoseksualnym potrafiącym wykazać się zawarciem ze sobą określonego typu umowy cywilnej. I tak dalej.

Skoro jednak każdy powinien mieć swobodę przyznawania takich

przywilejów ludziom pozostającym w określonym typie związku, to dlaczego w takim razie takiego prawa nie powinno mieć państwo? Głównym argumentem jest tu to, że państwo – w odróżnieniu od prywatnej spółki czy stowarzyszenia – finansowane jest w sposób przymusowy. Wszyscy musimy płacić mu podatki. Oznacza to w praktyce, że jeśli jakaś grupa cieszy się przywilejami w postaci państwowych dotacji czy specjalnych ulg podatkowych, to reszta społeczeństwa chcąc nie chcąc musi do niej dopłacać. Skoro już wszyscy musimy płacić podatki, to bardziej sprawiedliwe byłoby płacić je tylko na to, z czego korzystamy wszyscy (cele publiczne), a nie na wybrane grupy. Dlaczego osoby, które dajmy na to zawarły związek małżeński mają otrzymywać jakieś specjalne korzyści finansowane z pieniędzy także i tych, którzy takiego związku nie zawarli? Dążenie do likwidacji przywilejów państwowego małżeństwa czy np. rodzin wielodzietnych idzie tu w parze z dążeniem do likwidacji przywilejów rozmaitych grup zawodowych czy gałęzi biznesu.

(Owszem, w przypadku ulg podatkowych – np. możliwości wspólnego rozliczania się z dochodów – to, jako konsekwentny wyznawca tezy, że każdy podatek jest kradzieżą, byłbym raczej za zniesieniem tych przywilejów poprzez rozszerzenie ich na wszystkich, niż poprzez odebranie ich uprzywilejowanej grupie małżeństw; niech każdy miałby prawo wspólnego rozliczania się z dowolną liczbą dowolnie wybranych osób, oczywiście za ich zgodą...).

Co z adopcją i wychowywaniem dzieci? Możliwe są generalnie trzy sposoby rozwiązania tej kwestii w sytuacji braku instytucji państwowego małżeństwa i związanych z nim przywilejów. Po pierwsze, mogłoby to być regulowane w sposób zbliżony do dotychczasowego. Naturalne prawa do opieki nad dziećmi przysługiwałyby rodzicom, bez względu na to, czy byłiby oni ze sobą związani określonym typem umowy. W przypadkach, gdyby zmarli, zrzekli się oni praw do dziecka, systematycznie się nad nim znęcali lub powstałby między nimi

spór co do jego wychowania, o prawie do opieki nad tym dzieckiem decydowałby tak jak dzisiaj sąd. Rozpatrując wnioski o adopcję, kierowałby się on – tak jak dzisiaj – swym indywidualnym osądem, co w konkretnej sytuacji stanowi dobro dziecka. Jeśli uznałby, że oddanie dziecka pod opiekę osobie żyjącej w związku nieformalnym lub – o zgrozo – homoseksualnym stanowi zagrożenie dla jego dobra, odrzuciłby taki wniosek. Niewykluczone jednak, że w pewnych określonych sytuacjach mógłby zadecydować inaczej.

Czy jednak prawo do opieki nad dzieckiem powinno być traktowane jako specjalny przywilej otrzymywany z rąk ostatecznego opiekuna – państwa? W obecnym systemie uderza fakt, że o ile kandydat na zastępczego rodzica musi sobie na prawo do opieki nad danym dzieckiem „zasłużyć” w oczach sędziego, o tyle państwowym instytucjom opiekuńczym prawo takie przysługuje z urzędu. Dlaczego właściwie państwo ma rościć sobie prawo do ustanawiania się najwyższym opiekunem („wszystkie dzieci są nasze”?) i arbitralnego decydowania o tym, komu zezwolić, a komu nie zezwolić na opiekę nad konkretnym dzieckiem? Wedle wspomnianego wyżej prof. Longa, prawowitość tytułów do sprawowania opieki nad dziećmi powinna być określana (w praktyce zajmowałyby się tym rzecz jasna sądy) na podstawie tych samych kryteriów, co prawowitość tytułów własności. Podobnie jak ktoś, kto zagospodaruje kawałek niczyjej ziemi nabywa doń prawowity tytuł własności, tak też ktoś, kto znajdzie porzucone dziecko i zaopiekuje się nim, nabywa prawowity tytuł do bycia jego opiekunem. W naturalny sposób pierwszym opiekunem dziecka staje się jego matka; nikt inny nie ma prawa rościć sobie prawa do tego tytułu, nawet ojciec dziecka, o ile matka mu go nie przyzna. Nabyty w ten sposób tytuł do sprawowania opieki nad dzieckiem może być dobrowolnie przekazany innej osobie, podobnie jak prawowity właściciel jakiejś rzeczy może przekazać swoje prawo własności komuś innemu. Tak więc matka może podzielić się swym tytułem do sprawowania opieki nad dzieckiem z jego ojcem lub swoim aktualnym partnerem; może zrzec się tego tytułu na rzecz

jego, swych rodziców lub zaprzyjaźnionej rodziny; rodzice posiadający prawowity tytuł do sprawowania opieki nad swym dzieckiem mogą wspólną decyzją przekazać go za darmo lub odpłatnie na rzecz innej rodziny itp. Tytuł do sprawowania opieki nad dzieckiem wiąże się wprawdzie z określonymi zobowiązaniami – „opiekuństwo jest wiązką jednego prawa (prawa do podejmowania decyzji dotyczących tego, co ma się dzieć z dzieckiem) i jednego obowiązku (obowiązku dbania o dobro dziecka)” i co za tym idzie nie upoważnia do robienia z dzieckiem wszystkiego, na co opiekunowi przyjdzie ochota (np. zabicia go czy porzucenia go na śmietniku). Logicznie rzecz biorąc, oznacza to, że jeśli ktoś nie wywiązuje się z tych zobowiązań, traci swój tytuł do bycia opiekunem.

Wedle trzeciej, najbardziej radykalnej koncepcji, o czymś prawie do opieki nad jakimś dzieckiem decydować powinna zgoda samego tego dziecka, jeśli tylko jest ono w stanie taką zgodę wyartykułować. Zgodnie z tą koncepcją naturalne prawo do decydowania o sobie przysługuje każdemu człowiekowi, niezależnie od stopnia jego wiedzy i umiejętności. Nawet jeśli do przeżycia potrzebuje opieki kogoś innego, ma prawo nie zgodzić się na takiego kandydata na opiekuna, który mu się nie podoba. Szczegółowa argumentacja na rzecz tej koncepcji wykracza poza ramy niniejszego tekstu, zainteresowani mogą znaleźć ją np. w artykule Mike’a Dunna i Lynn Kinsky „Growing Up: The Case For Children’s Rights” opublikowanym w 1976 roku w kanadyjskim czasopiśmie „Option” i przedrukowanym następnie przez brytyjską grupę wolnościową Libertarian Alliance. Tu ograniczę się jedynie do krótkiego omówienia jej funkcjonowania w praktyce. W przypadku małych dzieci, niezdolnych jasno wyrazić swojego zdania, nie różniłaby się ona zasadniczo od koncepcji poprzedniej; jednak jeśli dziecko podrosłoby na tyle, by móc oznajmić swą zgodę lub niezgodę, miałoby prawo zrezygnować z opieki swych dotychczasowych opiekunów (np. rodziców) i poszukać sobie nowych, którzy zgodziliby się nim opiekować (lub też uznać, że poradzi sobie własnymi siłami). Oczywiście, dotychczasowi opiekunowie nie

mieliby obowiązku zapewniać mu mieszkania czy wyżywienia. Rodzice czy inni opiekunowie mieliby pełne prawo ustalać reguły dotyczące ich własności i używać siły w celu ich wyegzekwowania, nie mieliby jednak prawa zatrzymać dziecka siłą przy sobie. „Nie będąc własnością, dziecko nigdy nie mogłoby być legalnie zmuszone do przebywania z kimś, kogo dobrowolnie nie wybrało” – piszą Dunn i Kinsky. Jeden z czołowych działaczy Libertarian Alliance, p. Brian Micklethwait, podaje następujący przykład: „Przypuśćmy, że pewne lesbijki chcą trzymać w swym domu jakieś dziecko (...). Przypuśćmy, że to dziecko uważa to za dobry pomysł, bo według niego jego rodzice to prymitywy, mający zwyczaj go bić. Świetnie. To powinno rozstrzygnąć sprawę. Jeśli to dziecko i te lesbijki chcą wspólnie mieszkać, kto jeszcze potrzebuje się tym martwić? Jeśli to dziecko nienawidzi żyć ze swymi rodzicami, dlaczego miałoby być z nimi uwięzione?” („Gays and Lesbian Rights: Property is Better Than Politics”, Libertarian Alliance, 1992). Może to zaszokować konserwatystę, ale warto zwrócić uwagę na jeden aspekt tej koncepcji: jeśli dziecko i jego opiekun(owie) zgadzają się ze sobą żyć, żaden urzędnik ani sąd nie ma prawa – inaczej niż obecnie – ich rozdzielić ze względu na inaczej interpretowane przez siebie „dobro dziecka”. Dotyczy to oczywiście także – a sądzę, że w praktyce przede wszystkim – naturalnych rodziców dziecka.

Na koniec chciałbym zauważyć, że zniesienie instytucji państwowego małżeństwa i jej przywilejów wyeliminowałoby cały spór o małżeństwa homoseksualistów z polityki. Jeśli w ogóle by nie zanikł, stałby się on wewnętrzną sprawą dobrowolnych wspólnot, kościołów, stowarzyszeń i firm. A politycy różnej maści straciliby jeden z argumentów za tym, że bez nich tylko niesprawiedliwość lub niemoralność się dzieje...

Autor: Jacek Sierpiński

Źródło: [„Gazeta An Arché” nr 61](#)

Powyższy tekst ukazał się także w piśmie „Najwyższy Czas!” z 4 marca 2000